

BOGDAN  
NOWICKI

# ENNEADY

SUDECKA POEZJA I PROZA

WYDAWNICTWO  
MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W BIELAWIE  
BIBLIOTHECA BIELAVIANA



BOGDAN NOWICKI

ENNEADY

Sudecka  
poezja i proza  
XLII



Bogdan Nowicki

# Sudecka poezja i proza

Enneady

**BIBLIOTHECA  
BIELAVIANA**  
2023

Redakcja  
dr Rafał Brzeziński  
prof. Ryszard Waksmund

Korekta  
Paulina Wojciechowska-Cudak

Skład i łamanie  
Anna Brzezińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE  
Paulina Wojciechowska-Cudak

FOTOGRAFIA OKŁADKA I STR. 6  
Daniel Grzesiak

FOTOGRAFIA STR. 94  
Anna Piliszewska

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna  
Bielawa 2023

**ISBN 978-83-964709-3-5**

**BIBLIOTHECA  
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie  
ul. Piastowska 19c  
[www.mbp.bielawa.pl](http://www.mbp.bielawa.pl)  
[www.bibliothecabelaviana.info](http://www.bibliothecabelaviana.info)  
e-mail: [bibliothecabelaviana@gmail.com](mailto:bibliothecabelaviana@gmail.com)

ENNEADY



## ENNEADY

Odkąd powstały *Enneady* Plotyna świat zmienił  
Oś nachylenia o stopień. Ludzie, nie wiedząc o tym,  
Rozchodzili się o centymetr dłużej z pożegnaniem.  
Dalekolotne ptaki wyskubywały nadmiar piór,  
A piasek w klepsydrze przeciekał o jedno ziarnko  
Wolniej.

Nikt tego nie zauważył, bo jak można zauważyć coś,  
Co nie ma znaczenia. Metafizykom bliższe są niewidzialne  
Idee od kurzu ścieranego długim rękawem.

Istnienie chce być wypowiedzianym, jakby brak imienia  
Znosił je względem siebie.

A przecież dziecko kucające w krzakach, wśród migotliwych  
Płam bystrego wzroku, dałoby wszystko, aby pozostać  
Nienazwane.



## PATHOS

Pathos jest krainą młynów, które skrzypią skrzydłami snów. Wrzeczona czasu mielą tutaj ziarna pamięci upadających liter. Podróż jest długą rzeką, przelewa się przez brzegi zamysłonych Chopinów.

Wieczory pachną maciejką. Słomiane strzechy wsłuchują się w koła historii za oknem, przejeżdżające na przestrzał ceratowych obłoków, wiszących nad latarniami. Między łóżkiem a ścianą wije się asparagus.

Pan N. zawiesza sobie lunetę na szyi i ściąga nią odległe, zgrzytliwe młyny kołujące wokół Wielkiej Niedźwiedzicy – niebo przypomina mu skarbonkę, blaszany wiatraczek ze szparą do wrzucania monet.

Skrzydła wiatraka obracają się, gdy wsuwa miedziaki przez szparę w dachu: słysząc wtedy szmery upadających gwiazd...

## DROGA MLECZNA

Kosmate, postrzępione cienie noszą bure kaszkiety.  
Księżyc zerka z uśmieszkiem w kącikach ust  
ponad oszronioną sztachetą. Nic nie ma ciężenia.  
Przeszłość to drzazgi.

We wklęsłym lustrze widać cały odwrócony Kosmos.  
Sędziwy okręt Gwiazdy Polarnej szura burtami po  
żdźbłach popielatych traw. Słodki i tchnący melancholią  
zapach unosi się z nasion.

Każde drzewo ma lat siedem tysięcy, chociaż to pniom  
nie dodaje ani jednego słoja. Mech jest tutaj odmianą  
motyla żałobnika. A żuki schodzące z księżycowych  
promieni noszą lakowe trupięgi.

Pan N. siedzi na ławce przy  
Drodze Mlecznej we fraku, śnieżnobiałej koszuli, z czarną  
muchą na szyi. Srebrnym nożem nacina wiśnię  
za wiśnią, słowo za słowem: w rozerwanych włókienkach

wzbierają znaczenia – sok w pęknięciach  
owocu.

## KONFITURY

Garbaty krajobraz, jakby cofający się ocean  
drzemał co sto milionów lat, nic bardziej  
wzruszającego niż teren okaleczony przez  
czas, tu i ówdzie brakuje skały zeszlifowanej  
do cna.

Nocą wyszczerzone gwiazdy są śmiechem  
wszechświata nad tą błękitną główką obracającą się  
w nadziei, że dotrze do celu, kiedy rybacy zarzucają  
sieć na toń południków i równoleżników.

W głębinach skrzypią stare wieloryby jak szafy  
wypełnione testamentami mędrców, których  
już nikt nie czyta.

Po murawie toczy się drucziany wózek z parującą  
trawą w szprychach kół.

Matka szoruje słoiki, ojciec usmażył konfitury, gdyby  
nie umarli, to by je dzisiaj zjedli. Pies patrzy na mnie  
spode łba, bo nie wyszedłem z nim na spacer w  
posiwiłym płaszczu.

## STROICIEL LITER

Lampiony w jego głowie  
Huśtał wiatr, trzaskało światło,  
Gasło w skorupie świadomości,

Więc kołysała go skóra powiek,  
Gdy szedł ścieżką krawców  
Pisma, że konieczność albo magnolia  
To wiara każdej rzeczy.

Skupiony na ośmieszaniu tradycji  
Letejskiej, światu podpowiadał, że jest  
Nieuchronną przypadkowością, podwójnym  
Haftem wyszywanym w sobie i obok siebie  
Wbrew własnej woli.

Dopóki nie spotkał jej, sowy -  
Minerwy, płachty zapadającego zmierzchu,  
Duszącej pyszną krtań w pisk  
Zamszowego dźwięku.

## SPRZEDAWCY SOLI

W naturze wszechrzeczy nie ma  
Dla nich miejsca, są monomanią dotyków,  
Sprzedawcami soli.

Perypatetycy nicości,  
Owinięci chmurą niby prześcieradłem,  
We wnętrzu ściśniętego powietrza.

Po nich tylko mięsokostny koń  
Pegaz, z podciętymi skrzydłami, obracając się  
W krążkach kurzu, napotyka przypadkiem

Pęknięte kamienie, bez środka  
Ciężkości.

## KALIGULA

Największym miłośnikiem sztuki poetyckiej  
Był Kaligula. Choć głuchy jak pień z czułością  
Wpatrywał się w drgającą grdykę śpiewaka.

To, czego nie chwyciła jego uszna membrana  
Uważał za afront. Z boskości nie należy się naigrawać.

Nuta fałszywa,  
Zbyt długa lub zbyt krótka mogła kontynuować frazę jego  
Zachwytu, lecz nie ta doskonała, kiedy w błękitnych oknach  
Na chwilę pojawiały się łby strażników, pasterzy, kurtyzan.

Brak umiaru temu młokosowi.

Rozpłatał mu gardło, wyrwał strunę głosową;  
Zwyczajne nic, miękka żyłka oplata  
Zakrwawione palce.

Potem śmignął nią w powietrze – ptaki rzuciły się  
Na darmowy żer.

## MEDEA

Coraz więcej somnambulików wałęsa się  
między sygnałami anten satelitarnych.  
Binokle krótkowidzom poopadały na  
nos. Cyniczny księżyc wyszczerzył  
zęby.

Tysiące metamorfoz zamuliło ujście rzeki.  
Antywojenny poeta roztył się i stracił wenę.  
W wagonach na ślepym torze wzrosła  
liczba bezdomnych.

Medea posiwała w Kolchidzie, kiedy z  
powodu zarazy zamknięto ostatni hotel.  
Wieczorem w zdrojowym parku słyszeć  
tylko klaskanie kłapek  
o jej bose pięty.

## LUTNIA

Świeżo skoszona trawa ma soczysty zapach.  
nic już w niej nie piszczy. Żadnego dźwięku,  
żadnego powiewu; źdźbła czekają w sobie  
na siano.

Pod gwiazdozbiorem Lutni zauważono czółna  
poruszane wiosłami, płynące w naszą stronę.  
Jak wytrzymać ich plusk z odległości milionów  
lat?

Co wyjdzie poza ten krąg, przestaje istnieć.  
Czy jeszcze komuś zależy na kapryśnych  
wdziękach pani Ortografii, która nosi zimą  
parciany kaftan, a między palcami  
rozbite sylaby.





TOPOIDY



## JASNA POLANA

Lew Tołstoj opasły jak „Wojna i pokój”,  
w białej, chłopskiej rubaszce wychodzi do żniwiarzy.

Na ramieniu niesie kosę, a owady buczą mu  
basem.

O świcie pił wodę z wartkiego strumienia, szumiała  
pachnąca żywicą brzezina.

Bibułkę obłoków zmarszczył powiew przelatującego  
puchacza.

Mateczka Praskowia, chudziutka i siwa jak czapla,  
rzuciła wiadro do cembrowanej studni.

Lew Tołstoj wstał, rozejrzał się – na polu kwitły  
pomidory, które przykazał zasadzić.

Dalej stuletnie strzechy wypuszczały siny dym,  
bocian krążył z pierwszego zwiadu.

Jakbym się znalazł na kartach księgi, której już nigdy  
nie napiszę, pomyślał

i udał się ku żniwiarzom.

## PETERSBURG

Mikołaj Gogol biega z obcęgami od ściany do ściany  
i wyrywa gwoździe, na jakich wisiały płaszcze urzędników.

Newa chlupocze w żeglownym kanale i oblizuje  
cumownicze kamienie.

Do pralni niosą w koszach fantasmagoryczny Petersburg  
stare rajfurki.

W czasie kanikuły w zaułkach cuchnie woda w beczkach,  
a liszaje na tynkach wyparowują zbutwiałą treść.

Jak żebra przedpotopowego gada rosną rusztowania  
wokół czynszówek.

Worki wapna dźwigają malcy z uczuciem próżni w żołądku,  
którzy już nigdy nie pójną do freblówki.

Mikołaj Gogol, drapany pazurkami diabła, siedzi na  
zmiętej pościeli, niczym pusta forteca wypełniona wodą.

Okleja szarymi arkuszami dziurawy sufit.

## GURZUF

Antoni Czechow nie podstrzygł dziś rano bródki gęstej jak czysta wełna.

Drobne, liliowe ptaszki piją wodę z ogrodowego akweduktu, zrobionego z wydrążonego bambusa.

Na okrągłym stoliku już drugi tydzień leży pierwszy egzemplarz „Damy z pieskiem”, zalany słońcem.

Gurzuf uchodzi za kraniec ziemi, a na okrągłych mapach jest umbilicusmundi – pępkiem świata.

Czarnomorskie fale szorują tutaj kolorowe kamyki od milionów lat – więc są cienkie jak skorupki jaj.

Antoni Czechow po poobiedniej drzemce wychodzi na plażę w płowiejące mirażę parasolek.

Meduzy wyrzucone na brzeg wsiąkają w jego mokre płócienne półbuty.

## MUSTAMAKI

Leonid Andriejew ucieszył się na widok worków  
z trocinami – lubi zapach zmielonych drzew.

Świta, mgła skropiła się na świerkach, dachy  
szop parują, choć tworzą się jeszcze zatory sryżowe na  
rzece.

Włochate ćmy, zwijając skrzydełka, chowają się  
w szpary popękanej kory. Na dukcie skrzypi  
wózek, ciągnięty przez leśnego

ni to fauna, ni to centaury, ni to trolla.  
Pewnego razu po kąpieli w jeziorze raki go oblażyły,  
śmierdziały, więc wstydził się stanąć między ludźmi.

Leonid Andriejew dał mu wtedy chleba i słoniny,  
a ten co tydzień przywoził mu te same dulki.

A gdzie masz łódź? – zapytał wreszcie.  
A niy ma, panie. Niy ma. Poszła na dno.

Leonid Andriejew wpatruje się w bielutkie bierwiona,  
przy których na stole leży sterta rękopisów,

i palcem dociska zasychające litery.

## GRASSE

Iwan Bunin kolejny dzień nie wyszedł na wapienny cypel, aby popatrzeć na grzbiety delfinów, prujących lazurową toń.

A przecież jeszcze czekały na niego kręte uliczki, pinie smagane przez atlantycki wiatr, woń morskiej soli na wietrzących się prześcieradłach. Czerstwy

Michel, stawiający przed nim lampkę wina, omiatający blat stolika serwetką, niby śnieżnobiałym skrzydłem troskliwego anioła,

dziewczyny niosące kosze soczystych winogron, szusujące na kocich łbach, owiane ażurową mgłą ekwipaże, aromat otwieranych perfumerii.

Iwan Bunin zamiast słów czuje dym w gardle, właśnie ukończył „Przeklęte dni”, dni deski mające stemple graniczne obcych krajów.

Odsuwa kotary, wychodzi na ukwieconą werandę i nasłuchuje: to stróże stukając prętami, budzą gwiazdozbiory.



## MIĘDZYDROJE

Pątnicze powiaty notują przyrost naturalny jałmużników –  
Pascal napisał list, aby skłonić do szukania Boga.  
Grupa chilijskich archeologów odkryła domy z gładkiego kamienia.  
W sadzie somnambulicy chodzą w śliwkowych płaszczach.

Bruce Willis reklamuje japoński napój alkoholowy.  
W Milanówku słyhać ogromny łoskot – to konserwatorzy  
otwierają kufer wszechświata, fortepian.

Tomas Tranströmer zachwycony lutowym powietrzem czuje się  
wyśmienicie, kartkując tomiki wierszy.  
Sędziwy Lukrecjusz porównuje wizerunki, które odłączają się  
od ciała, z wylinkami pozostawionymi w lecie przez cykady.

Kotka Eleonora przewróciła buteleczkę tuszu, czarna kałuża  
rozlała się na blacie mahoniowego stołu.

Dziecięce pytania dlaczego niebo jest niebieskie, a morze  
twarde i nieruchome, pozostają bez odpowiedzi –  
pani Szymborska z panem Baczyńskim rozmawiają o tym  
przez telefon.

Astronaucci rozpinają plandeki nad globem, ale to nic nie daje,  
skoro meteory wciąż spadają  
na plantacje truskawek.

## STRYDON

Chromy anioł zwiniętą krawędzią piór  
zanurza się w pooraną twarz świętego Hieronima.

Klepsydra pęka w kącie, piasek zdejmuje perukę  
cienia, jest tylko ziarnko przy ziarnku, zwęglony  
wolumin i ropucha na glinianym dzbanie.

Pod ławą parcieją jabłka. Pożółkł inkunabuł  
ze stearyną na twardych okładkach.

Na sztaludze siedzi kruk, jakby dopiero co opuścił  
paletę malarza, nasyca tuszem metalicznie  
połyskujące skrzydła.

Za oknem zimowy pejzaż, pola w szarych  
bandażach, czyjaś postać, znikająca  
w sonej dali kreską.

Nasmołowany, drewniany most nad  
zamarzniętą rzeką, nie sprzątnięty stóg siana  
pod ospowatą czapą śniegu.

Garb saneczek ześlizgujący się z pagórka,  
a wokół rozsypane kropki dzieci, mające za  
plecami drgające półksiężycy,

kiedy strażnik wychodzący z omszałej bramy  
omiata całą domenę pochodnią.

## WARSZAWA

Na pchlim targu Białoszewski Miron  
chudy, odarty do kości, sprzedaje za pęczek cebuli  
„Album Morfeusza” z niebieską wstążeczką na grzbiecie  
i szarą okładką, wyprasowaną zimnym żelazkiem.

Gdy go dotykam kciukiem lewej ręki, rękawy  
jego marynarki porastają pleśnią. Wyjmuje stertę  
uczniowskich kajetów i kładzie je obok książek  
jak guziki koloru morskiej zieleni.

Przez moment wygląda tak, jakby starał się coś  
sobie przypomnieć, a potem chwyta glosariusz i szuka  
w nim czegoś, czego nie znajduje – więc poszukuje dalej,  
aż do końca słownika.

Wtedy zza rogu ulicy wybiega dziewczynka o twarzy  
wojennej matki, pchająca wózek dla lalki zrobiony z  
wikliny.

A za nią wylewa się tłum – falami  
dobiegają łoskoty i głośne, nieartykułowane krzyki.

Białoszewski Miron zatrząskuje słownik,  
z niedowierzaniem kręci głową i zadziwiająco  
szybko nakłada swój pluszowy kapelusz,  
znikając w szufladzie sieni, gdzie płonące  
miasto szczotkuje frędzle snów.

## WYZYSKOWICE

Najbogatszy mieszkaniec Kołyszko Kazimierz  
tłusty, opalony, z zezem pilnującym każdego  
zakątka placu, sprzedaje kłamoty, bibeloty  
i sygnety z rżniętymi, szklanymi oczkami.

Ściąga nasadkę ze swego wiecznego pióra  
i pisze w notesie oprawionym cielęcą skórą,  
a potem w skupieniu przelicza słupki cyfr,  
aż mu skapuje z dolnej wargi ślina.

Jest maniakiem, perfekcjonistą – nie ma takiej  
rzeczy, której nie opchnąłby z zyskiem. Chou – chou!,  
woła do swojej żony. Chou – chou!, do gapiowatego  
syna, zakładając na rękę złotą bransoletę.

Pan świata, boss, dysponent mienia – wraz z jego  
przyjściem rozlegają się dźwięki trąb i rozbłyskuje  
reflektor.

Mierzi go tylko sucha staruszka okutana w  
poszarpane szmaty, skulona pod murkiem sto  
pięćdziesiąt metrów od niego, handlująca

owłosionymi poziomkami, wygrzebanymi  
z popiołów miasta.



DZIELNICA CH.



## CHWILA W DZIELNICY CH.

pajęczy las ruszył w moją stronę –  
choć nie zdobyłem żadnej władzy  
nad tarczą ruletki, liczę tylko na to  
co się nie zdarzy.

poryw wichru porwał połowę dachu,  
więc widzę spadające do mojego łóżka  
gwiazdy – ziębnę, kiedy topnieją  
na ramionach ubielonych solą.

nie mam już zapasu agrafek,  
ani szpilek, aby pozapinać jakoś  
tę ostatnią chwilę, która będzie  
wyglądać, jakby ją czołg rozjechał

swoim bólem...



## RAPORT Z DZIELNICY CH.

nostalgia za pełnią, a jednocześnie melancholia  
wynikająca z kruchości istnienia, wydają się najbardziej  
cechować tę dzielnicę, pod jaką rusza się węgiel.

w wąskich uliczkach ze światłem, barwą, cieniem, jawą  
wchodzi się w sen. i odwrotnie, więc kamienice pulsują  
rozpaczą albo olśnieniem wietrzejących cegieł.

ceremonia uchylania okien, wręcz ich obsesyjny  
faktografizm w połączeniu z perspektywą wysychających  
na sznurze pościeli, znakomicie oddają nieuchwytność  
dzielnicy Ch.

relikt i objawienie – swoiste credo placu Dygi albo Szulika:  
spazm żalu, nierozstrzygalności, przemijania,  
cierpienia – po jakim można pływać łodziami aniołów.

tu zapach sieni po deszczu, mokrych framug i papy  
na dachach, suszonych śledzi i warzyw na straganach  
jest ceratą pamięci, chociaż widmowe izby wsiąkają  
w ściany, a żyrandole na łańcuchach obrastają sierścią.

cienie staruszek nadal snują się z miotłą na plecach  
i wymiatają z kątów szkielety, lecz światło reflektorów  
przejeżdżających aut płoszy je – wtedy czmychają tam,  
gdzie czas żują piwnice...

## PRZEDŚWIT W DZIELNICY CH.

po odwilży uliczki są pełne brudu, szary śnieg  
ześlizguje się ze schodów – każdy kot biegnący  
rynnami ma katar. blacharz Joachim wychodzi  
o świcie – mgła skrapla się w jego powiekach.

na placu targowym bruk zaplamiony jest sokiem,  
cieknącym z dziurawych koszy. bezzębne baby  
piłują kawałki szkła – na amulety. z bram

wyjeżdżają pierwsi dostawcy pieczywa –  
mączny pył unosi się za nimi w powietrzu  
i nagle cała dzielnica pulsuje zapachem chleba.

wreszcie budzi się dziadek (bez niego na próżno  
kręci się nasza planeta), będzie truchtał  
z kąta w kąt, pokroi nożykiem jabłko.

wejrzy w półmrok na zewnątrz  
przez zakurzone okno, nim wkręci  
nową żarówkę – wtedy to jabłko i izba zostaną  
pokryte pręgami światła.

## POWIDOKI W DZIELNICY CH.

dzielnica warczy jak wściekły pies, z bram unosi się zapach  
zwiędłego anemonu i zapleśniałych ubrań  
biednych dzieci, przełamujących się pajacykiem  
w śmiesznej czapeczce.

staruszki z torbielami gardeł siedzą z łokciami  
wspartymi o parapety. czują ukłucia igły w  
sercu, kamyk w kolanie, gwóźdź w bucie, suchą drzazgę w  
pożółkłym od nikotyny palcu.

bezszelestne koty, elastyczne, w czarnym welurze  
na zardzewiałych rynnach wyprzedzają  
swoją punkt ciężkości – cień we fraku wyciąga je z czarnego  
cylindra.

szemrzące w powietrzu płatki demaskują rejony  
fałszywych wyobrażeń – bo może to tylko tłusta  
sadza oprósza kwadraty okien? – zgryźliwy

wiatr zaciera malunki  
na szyldach knajp i krawieckich zakładów – po żonglerce  
popiołem na podwórkach wynosi się stąd gdzie pieprz  
kiedyś rósł, a dziś suszą się grzyby w strychowych  
suszarniach.

## DOM SPOKOJNEGO DZIECIŃSTWA W DZIELNICY CH.

Dzieci wyciągają rozsypane pigułki z kieszeni  
i wtykają je do fiolki.

Z liściastej jesieni kapie sok światła.

Park przebrawszy się w odwrócony kozuch i kapelusz  
z łopuchów podkrada się do ławek.

W różnych domach, umieszczonych na sferach  
planetarnych, dźwięczą sople.

Dni stoją teraz głębiej w swych przegródkach,  
napierają na tygodnie ściernięte zimnem.

Ryby w akwariu są chore, mają podniesioną łuskę,  
leżą na dnie obrzękłe, z zasiniawymi pyskami i wysadzonymi  
oczami.

Wychowawczynie rozdają pęki siwego ostu, nadleciały  
tutaj z wrzaskiem wron, tworząc wzdłuż parkanu  
czarno – biały oksymoron mrozu.

## SZAFY W DZIELNICY CH.

Hałas w szafach wywoływały duchy: mundur dziadka,  
mundur ojca, mundur syna przeżarty przez wieczne  
mole.

Armie płowiały między sobą, miały podkrążone  
guziki. Zagłębiały się w wełnach  
błot i w glinie drelichów. Kto wie jaka dusza, kto

wie, jaki struchlały kurz wyzionął z nich na zawsze?  
Coś chrupnęło, ukruszyło się. Drewniany blat stołu  
zbielał – niby kości pod

ziemią.

## SEN W DZIELNICY CH.

na taboretach nie było już miejsca dla kiści kwiatów. miał na sobie  
wytworny garnitur, wykrochmaloną koszulę i kaszmirowy  
krawat w zielone groszki.

napoił swoje zwierzęta i zapadł się – powstał dół. taki na miarę  
trzeciej godziny  
w nocy.

najady przybyłe z doliny zaglądają do niego z koszykami czarnych  
grzybów i jagód. co widzą? tafłę wody na dnie,  
przykrytą liśćmi.

a on?

Andromedę, Lutnię i Węgę, siedzące bokiem, ze zwieszonymi  
nogami

nad jego grobem.

## ZMIERZCH NAD DZIELNICĄ CH.

Wiatr pogonił liście pustą uliczką węglową,  
jaskółki skuliły się w gnieździe pod dachówką.

Ciała niebieskie wiszące nad zakurzoną rynkiem,  
skrzypią jak budy na odjeździe.

Żadna bibuła nie wysie melancholii gasnących  
lampek w sypialniach, skąd wyfruują staruszki  
z chustami na głowie.

Zbierają badyle pomidorów, kartofli, trzciny,  
kupki zboża i potargane gałgany.

Na konopnych sznureczkach noszą torebki  
z suszonymi goździkami i z otrębami.

Jak nietoperzyce nasłuchują świstu spadających  
gwiazd, trzeszczących konstelacji wysychających  
parapetów

i rozpiętych w transie błon lotnych.

## SZKLARZE W DZIELNICY CH.

Jesienią intensywnieje zapach proszku na mole w starych, bejcowanych szafach. Wiszące lustro śniedzieje nad umywalką. Żadne odbicie nie jest już tak czyste, jakby wyszło prosto spod z igły. Pergamin twarzy przypomina rozstaje dróg.

Przez cały czas słychać westchnienia, dygot i zgrzytanie zębów wiatru. Do smutnych dudnień bębnów w kominie dochodzi szmer osypującej się pod blachą pieca sadzy. Chybcóż się święte obrazki na ścianach.

Po wymiecionych uliczkach chodzi majster zabawek. Za nim ciągną się frędzle poszatowanego przez gradowe chmury księżycy. Nikt już nie otwiera przed nim drzwi. Na popielatych deskach podłogi stoją rzędy słoików z marynowanymi rydzami, które lakuje się na siarczystą zimę.

To o tej porze łamią się najczęściej kruche kręgosłupy wiatrów, odwiecznych stróżów, trzaskających rano otwieranymi okiennicami. Kotłują się w ich głowach nieartykułowane modlitwy pod inflacją słońca. Na targu noże łechtają rybie łuski. Karpie pluskają w cynowych wannach. Szklarze ścierają gąbką prowincję z szyb.



## TĘSKNOTA ZA DZIELNICĄ CH.

nie zapomniał o niej, nawet tu, na brytyjskim  
bruku, a tym bardziej przy kuflu Guinnessa, więc zagląda  
tu i tam, stuka palcem w nieoheblowane, to znów zziązany  
wybiega na krawędź wyspy, za jaką przepaść woła mu:  
a kuku!

zna tę cizbę kołowrotekóv, kręcących się  
z piskliwym szmerem, dokoła nawijających watę  
myśli, kiedy wysycha gardło – a doktor Wulc nazywa to depresją.

zamyka oczy, sufit staje się pionowy, ściany płaskie, podłoga miękka –  
pałętają się po niej głosy mieszkańców w obcych językach,  
gwar wypełnia wszystkie wnęki, doły i dziury pięciu zmysłów,  
z których wysypuje się miękka kreda,

pozostawiająca pod żebrem wydmuszkę...

RODZINNE



## CERATA

Babka była świetlistą meduzą – obejmowała wszystko i wszystkich, chrupała jabłka, darła pierze, ćwiartowała mięso, zmiatała paprochy z podłogi, wędziła pod dachówką kielbasę.

Otwierała skrzypiące okiennice, nakrapiana prążkami świtu, płoszyła jednorożce drżące na parapecie – dla niej piały koguty w sieni, pachniało sianem i miętą.

Wymowała z kanapy dziadka, który był tak chudy, że czuła jego dygocące piszczele – owijała je we włochaty koc dwóch wojen światowych i spinała agrafką.

Kiedy jesienią wilgotniały ściany, a spod tynku widać było cegły i woda ciurkała wzdłuż ramy zdjęcia ślubnego jej i dziadka, czuła wyraźne wyciekanie domu pomiędzy palcami.

Wieczorem wkładała zęby do wody, które opadały na dno mlecznej szklanki – i gdy czekała aż zasną, niczego mi nie opowiadała, była pełna wymarłych obrazów, wygładzonych niby cerata pod powiekami.

## MUNDURY

Dziadek chudy jak patyk  
z przyjemnością maluje  
na tekturze wszystkie  
mundury jakie zakładał

i do każdego ma inny język  
kwiatek z innego ogrodu  
guziki twarde płócienny plecak  
i drugi kieliszek

lubi kozi ser  
ręce położyć na kolanach  
po wystruganiu ułana  
z bukowego drewna

pamięć ma wolną od wszelkich  
więzów więc wciąż wraca w te same  
miejsca

na skórze rozkwitają  
starcze plamy

lecz nawet słońce nie wierzy  
że dziadek kiedyś zniknie

a przecież popiół leży  
na wszystkim

## KRZEW

Matka była postacią, w której promieniowało  
blade słońce na kuchnię skutą lodem, kiedy jej  
bezradnie zwisające sople palców nie  
wiedziały co włożyć do garnka.

Czekała na niebieski opar ponad dachami,  
przykładała zimne żelazko do duszy męskiej koszuli,  
szorowała biel chropowatej lamperii, czesała  
włosy szorstkie jak sznurowadła.

Wszystko przebaczała, lecz niczego nie zapominała.  
Gdy wracałem z ośnieżonego lasu i kłamałem, że  
byłem na roratach, w jej lewej gałce ocznej  
drgał fioletowy nerw.

Chowała wtedy kosmatego konika do komórki,  
opowiadając o dzieciach, które są grzeczne i pilne,  
nie topią w rzece swojego elementarza, i nie moczą się  
nocą, licząc imiona demonów.

Nie pamiętam, kiedy przestała mówić  
całymi zdaniem, jej twarz zamieniła się w grymas,  
jakby kto zerwał z niej zasłonę domową,  
ukazując siwowłosy krzew.

## TERMOFOR

Jest mały, siwy, ma sztuczne zęby, jego ręce  
pokryte pergaminową skórą drżą niby frędzle  
kanapy w przeciągu.

Słysząc w nim tylko mamrotania, mruknięcia,  
szepty i dźwięki przypominające dziwny,  
stłumiony śmiech. Erozja atmosferyczna  
poszerzyła pęknięcia na jego czole.  
Wewnątrz wietrzeją myśli  
meteoryty.

W bieli prześcieradła pozostaje żółty odcisk.  
Naciąga na siebie kołdrę, otula się pod  
samą szyję. Wsuwam mu worek  
pod nogi z ciepłą wodą i to go  
dopiero wzrusza.

Patrzę w okno. Śniegu jest coraz więcej;  
oblepia gałęzie, które zrobiły się podobne  
do nowo narodzonych szczeniąt.

## SZYBA

Ojciec był postacią pneumatyczną,  
nie był więc ani pasterzem, ani rolnikiem,  
ani komiwojażerem w rozklekotanym  
wagonie kryształowych przeciągów.

Nie huśtał mnie na drewnianych huśtawkach,  
nie kręcił na skrzypiących karuzelach, nie pokazywał  
całego pyłku świata schowanego pod skórzaną kurtką,  
mającą słodkawy zapach.

Nigdy nie szusował ze mną na rowerze po  
gładkim asfalcie, nie był mistrzem w hamowaniu  
w nitkach babiego lata, kiedy dogorywają  
w krochmalu dni białe drzewa.

Tylko chmara ciem wyfruwała z jego kamizelki,  
gdy pojawiały się czapy śniegu w oknach, chcąc je  
odgarnąć podnosił szeleszczący wiecheć miotełki,

ale wciąż natrafiał na przezroczystą szybę,

nie widział jej – tak jak mnie od dnia  
urodzenia.



## FLĄDRA

Ciotka rozeszła w sobie. Mierzy świat groźnie  
wyglądającym dziobem. W czarnej torbie  
pamięci ma jakąś latarkę, nie najgorszą  
na małe pomieszczenia, ale zupełnie  
niewystarczającą do lodowcowych  
jaskiń.

Notuje w liniach papilarnych sen:  
musi ułożyć kwiaty i załatwić różne inne  
sprawy – na przykład pralnię.

Z prześcieradłami da sobie jeszcze  
radę, ale najgorszy kłopot z kocem,  
który ma mysie włosy i budzi w niej ciągły  
wstręt,

jak ja – jej najmłodszy siostrzeniec.

## POGRUSZEK

Lubi placki ziemniaczane, nadziewa na widelec  
kawałek, zjada go i pociera nos. Budzi się o świcie,  
kiedy ptaszek za oknem wydaje trele.

W chłodne dni siedzi przed filującym ogniem  
z drewniak, z rękami złożonymi na kolanach.

Zestraja się z płomykami, których faliste linie  
przypominają zapis sejsmograficzny na czarnych  
żebrach popielnika. Wtedy bezwładnie opadają  
mu ramiona, zgięta cienka szyja i spiczasta  
broda spoczywają na tułowiu, jakby ledwie  
dawał sobie radę z własnym ciężarem.

Trzeba go przenosić z kąta w kąt, bo inaczej  
deptałby sobie po piętach wykrzywionymi  
pantoflami. Półkole księżycy wisi w próżni  
pod białym sufitem. W miejscach, gdzie  
siedział pozostają włochate plamy.

Kiedy zlatywał ze starej gruszy nie zdążyłem  
złapać go za rękę. A może nie chciałem...

## CHUSTA

W przestrzeni paradoksalnej wszedł w ścięty  
Las. Babcia dała mu na drogę kromkę chleba,  
Flet nocnego słowika, skrzygnięcie skrupułów,  
Siwy blask okna. Na podwórku stały beczkowszy

Wypełnione mielonym makiem. Trzeszczały  
Wyglądzone do połysku dyszle. Wraz ze zmarszczkami,  
Na czole babki otwały się parasole. Szmuglerzy pierwsi  
Wzięli nogi za pas. Z obłoconymi butami ugrzęzli

W Wielkiej Niedźwiedzicy. Ogrodnik, mrużąc coś  
Do siebie, powłókł się po świeżo zagrabionej  
Ścieżce i, zabrawszy koszyk z chwastami, odszedł, a  
Pies zaszczekał. Dwoje kochanków zawiniętych w

Całuny nicowało wciąż ten sam temat. Pręgowany od  
Tarcia moren lodowcowych, wieczór rozpostarł pogięte  
Skrzydła. Na małej stacyjce ktoś czknął przy kuflu  
Piwa. Cyferblat księżycy wyrzał z za chaszcy, podobny

Do ciekłej rtęci. Wspaniałą pełnią pociągnął  
Nad pole brukwi. W ciszy złożonej ze szmerów  
Przykleił się do parapetów. Wybielił babcie machającą  
Haftowaną chustą...

## SIOSTRA

Coraz więcej martwej natury, usypanej  
Z wulkanicznych tufów Wezuwiusza. Rachityczne  
Drzewa noszą szale o długich frędzlach. Ocknęły się

O świcie sieroty. Sapią pod ciężarem dziurawych wiader.  
Robotnicy w brezentowych kombinezonach szuflami  
Przesypują popiół z miejsca na miejsce.

Na sfastrygowanych mapach nie pozostała już żadna biała  
Plama: po siatce południków i równoleżników tańczy  
Małpka z posiwiąłą główką.

Przyjechała siostra, przywiozła walizkę  
Jabłek. Zapachniało domem, chociaż wewnątrz jej butów  
Wypełniał proch.

Jeżeli coś istnieje bez logicznej przyczyny,  
Po której stronie znajdują się zmarszczki  
Tej obolałej planety?

## OFELIA Z WOSZCZELI

Pokroiła chusteczki, przekonana, że to ciasto na makaron. W pyłe kurzu wytrzepanego z materaca, odnalazła kształty czyhających na jawę postaci.

Kraj jest zaniedbany, zwłaszcza na prowincji, gdzie brzydko pachnie kapuśniakiem, mydlinami kałuż, i rupieciami w chaszczach, przez które przecieka rdzawy deszcz.

Po drodze płynie łódź z czarnego drewna, leżą w niej wszystkie słoneczniki krótkiego lata, i komiwojażer, któremu czy to w gardle, czy też w głębi nosa coś świszczuje, gdy oddycha.

Wiadukt nad torami kolejowymi obsiadły kruki – są świętymi zakonnikami zmierzchu. Siedziały tu na długo przed wojną i za komunistów. Na żeliwnym przęsle z jednej strony jest wydrapany „Hans”, a z drugiej „Grisza”.

Jest córką któregoś z nich, jednokołowego księżycy, co na chwilę zamknął ślepie.

Za paczkę skrętów pokazywała ludziom swój rozdwojony język, ale dzisiaj to nie ma żadnego znaczenia.

Drylując zamszowe śliwki może wreszcie pogrążyć się w siebie, w pestkę.

TRWANIE



## ETUI

Coraz mniej jest małych miasteczek,  
gdzie księżyc sierść strzepuje na podwórzu,  
we wszechświat zagląda się przez dziurkę od klucza,  
słysząc stukot kół na kocich łbach i trzeszczące  
lato w okiennicach.

Coraz mniej jest pobielonych izb,  
gdzie muszkatel bezgłośnie traci płatki,  
listy pisze się odręcznie na stole ze szramami noża,  
woda mętnieje i kiśnie w misce – moczył w niej nogi dziadek,  
na parapecie jabłka pachną.

Coraz mniej jest dębowych, bejcowanych szaf,  
gdzie wielopokoleniowe płaszcze szczypie naftalina,  
grube swetry z golfem pamiętają obrzękłe niebo na karku,  
ziemia odlepiona z buczków dzieci bawiących się w chowanego  
kresowieje, kresowieje...

Coraz mniej jest słów nie rzucanych na wiatr,  
stron księgi przewracanych na pulpicie, dzwonek  
z duszami u drzwi, niezarośniętych mogił, majsterkowiczów  
latających sklejkowym samolotem, marginesów polan,  
na których można schować okulary do etui.



## TRWANIE

Moja ulubiona gruzińska poetka, Medea Kachidze odwiedza mnie czasami w bezsenne nocy. Siada na taborecie i szydełkuje swoje wiersze. Jest

długowieczna, jej czarne oczy wyblakły i skórę ma przezroczystą. Widać przez nią susz do palenia, jaki zbieram na zimę. Mówię do niej

łamanym rosyjskim, wtedy ona przykłada palec do warg. Więc milczę. Oglądam w niej rzeczy, których nie ma: cerkiewkę z deszczulek i dzwonnice

z tarcic. Stado baranów bez rogów, cmentarz szpitalny zarośnięty chabrami. Nagle wychodzi tak cicho, że tego nie zauważam. Potem szukam

jej wierszy w antologiach. Urodziła się w 1933 roku we wsi Achalsopeli. Bez niej nigdy nie dowiedziałbym się o tym miejscu. Właśnie nakarmiła kury. Zerwała

kiść winogron. Zmęczona łapie rozrzedzone powietrze 3916 metrów nad poziomem morza. Wdycha księżyc ze świstem oskrzeli, a jej wiersze są coraz bardziej

onomatopeiczne.

## JONASZ

Przyoblec to, co niewidzialne, ale czym?...  
Lepiej nie wychylać się poza pigułkę humoru.  
Wszechświat to zimny, dziurawy staw. Czeluść  
bez rezonansu.

Jutro z czarną przepaską na oczach puka  
w dębowe deski konfesjonału. Bezdomny śni  
o świerkowych bierwionach domu. Nad płachtą  
gazety skrzypi Wielki Wóz.

Macocha za ogrodzeniem spulchnia łyżką ziemię  
i wypełnia nią walizkę. Włochaty anioł rozcapierza  
szerokość stopy, której nie ma – opuścił się tutaj  
z nocnym meteorem.

Do Morza Białego wpływają białe rzeki. Foka nasłuchuje  
pękającej pokrywy lodu. Rybitwy łapią  
wodą zatopione ryby. Prysnał Jonasz z brzucha wieloryba –

kiedy go przywieziono na ojom, zdawało się, że na  
wózku przywieziono jedynie same nogi.

Przyłóż palce do mapy. Czujesz wypukłe  
czy wklęsłe miejsce?

## KONKWISTADORZY

A zatem czeka nas Mars.

To kwestia czasu, a nie loterii. Załapie się każdy kto chce jak na tanie linie lotnicze. Skolonizujemy tę planetę z bufetem, klubem Go-Go, i wieżą Eiffla w szklanej kuli.

Wybierze się Miss Uniwersum w zielonej sukni z welwetu i po raz pierwszy ten tytuł będzie adekwatny do okoliczności. Piękność otrzyma czek na 50.000 marsofranków, plunie nań (oczywiście na szczęście), nim wsunie za elastyczny stanik.

Otyli zapiszczą z radości, bo dzięki marsjańskiej grawitacji staną się lżejsi o połowę, niezależnie od wzrostu, posiadanego majątku czy też funkcji publicznej. Hamburgery i frytki będą git, a weganie pod kapeluszem z szerokim rondem zacisną tylko koński ogon.

Każda para wytnie sobie swój własny kawałek kosmosu w górze – teraz tu będzie rodzinny dom, z kosmatą Mleczną Drogą w tle, z planetami na szelkach i miotełkami komet odkurzającymi niebieskie pipidówki.

Dzieci, poczęte oczywiście in vitro (ze względu na higienę i potrzeby rynku), nie będą zadawać się z byle kim i nie będą zadawać głupich pytań.

Starość stanie się cieniutką srebrną nitką w Obłoku Magellana. Nie będzie już tego, co niczemu nie służy, na przykład pachnące jabłka na dnie wiklinowego kosza.

Z motelu somnambulików, po wstrząsowej kuracji, zaczną wychodzić w świetle reflektorów konkwistadorzy w ciasnych skafandrach,

niosąc w słoikach ciszę i przejrzały na wylot  
księżyc.

## WIELORYBNICY

Wieloryb – sen osiadł na mieliźnie

Odchodzą rybacy w gumowych płaszczach  
Z płatami mięsa

Kobiety dźwigają wiadra lepkie  
Od wodorostów

Rdza ubarwia ich włosy wylewające się  
Z zagrzebanego w piasku parowca

Wytrzeszczone bulaje szoruje w transie  
Lodowaty wiatr

W środku proteza ręki robi dokładnie

To samo

## ZIMNA WYSPA

Spopielila się ich pościel  
Stratą czasu, siwym szronem snów,  
Stertą szeptów, prochem księżycy,  
Wyskubanymi nitkami ciemności.

Goły pokój, zdmuchnięty  
W bezsenne noce stracił wiarę  
W prostolinijny mebel, na którym  
Rozgrywały się, w erotycznym spazmie,  
Błuźniercze westchnienia.

Teraz uchodzą z ciała płynnym  
Cieniem, dźwigając własne winy i  
Zębów beztroskie dzwonki, próżnia  
Po nich opada i choć nie kaleczy,  
Boli

Skórę: jego w baranim, jej w króliczym  
Ukrytą futerku.

## PEAN NA CZEŚĆ KOTA

Miejsce przy kominku osmała kudły kotu,  
Co wabi się Eleat i zna lisie podstępny pod pazurami.

Dalej niż myśl nie przebiegnie. Tylko w środku czuje się  
Dobrze i w kufrze, gdzie gromadzi pstre skrzydełka – płaszczyki  
Z motylarni.

Czy ktoś ma czy nie ma racji, łapy nie daje do zgody.

Ci z drugiej strony pręgów nudzą go swoim gadaniem.  
Wypina w łuk tryumfalny grzbiet na plecione bzdury.

To, co stworzone znajduje się poza nim.

Jego kroki rozchodzą się w przeciwne strony,  
Kiedy strąca na zbity łeb obraźliwy sylogizm:  
Jeżeli każdy kot jest ssakiem, a każdy ssak  
Jest kręgowcem, to każdy kot jest kręgowcem.

Lecz on jest puszystą pneumą, w którą natura  
Tylko na chwilę wepchnęła oścień szyderstwa:  
Kości!

Zwija się w kłębek, w dokładne nic, aby żadna rzecz  
Nie mogła mu zadać bólu. Wtedy wraz z nim eter  
Przymruża ślepią.

Bez żalu zostawia głęboko za sobą  
Całą zewnętrzną, w mruczeniu doznając  
Idealnego bytu.

## JEŻ

Nasłuchujemy Tyfona, jak jęczkiem  
Spija mleko z gliniastej miseczki.

Pije zgodnie ze swym przekonaniem,  
Że w rzeczywistości wrogów nie ma.  
A zimę się przesyphia.

Złożony przewlekłą chorobą starości,  
Wciska się pod wełniane swetry  
Mchu.

Przypomina gatunek ciernistego krzewu,  
Kiedy pełnymi garściami głaszczą go  
Stery liści.

Pojmuje przyrodę przy pomocy niej samej,  
Potrafi mądrze i chytrze unikać meteorów,  
Gradobicia, deszczu, udarów słonecznych,  
Zbijając się w ościstą kulkę.

Stróżuje aż do marca, by naszeienne  
Sprawy nie przemieniły się  
W szuflę popiołu.





# WYCIĄGACZ KLESZCZY



## KAFKA

Zima leży w obierkach. Synoptycy od dawna zapowiadali odwilż. Z mapy pogody ściekają soki gąbczastych pni drzew. Siwiejące blond włosy staruszek wyglądają brzydko.

Mieszkania wchłonęły w siebie rzeczy codziennego użytku: są spuchnięte i trzeszczą szparami. W suterenach czuć woń mokrego tynku. Okna nadymają policzki – szyby zaraz pękną.

Dymią podwórza z pałąkiem trzepaku. Kondukt żalobny wyszedł już z opustoszałej sieni. Wszystko, co żyje wyslizguje się na zewnątrz i tysiącami strumyków wpada do Wełtawy. Z rynny zwisa sopel porośnięty białawym mchem.

Pan Kafka w drodze do zamtuza rozmawia z synem handlarza ryb. Zamawia jesiotra. Chwilę patrzy na gumowe rękawice zrudziałego młodzieńca.

– Niech będą dwa – mówi, myśląc o swoim ojcu jak o kleszczu.

## KERTESZ

Dunaj wlewa się raz do Budy, raz do Pesztu. Nadbrzeżne mgły nasiąkają nim jak bibułka atramentem. Ludzie siedzą w szklarniach kawiarni i karmią wieczorem koty. Dzieci przychodzą na przystanek trolejbusowy w strojach kąpielowych.

Starcy siedzą na ławkach i jedzą krwistą czerwień arbuza. Po nas choćby potop, myślą, patrząc na nurt mulistej rzeki. Lewitujący w kłębach kurzu żebrak, mimo upału, ma gruby płaszcz i dwa lewe buty.

Na błoniach leży zwinięty namiot cyrkowy. Żongler ssie plasterek cytryny, więc ma kwaśną minę. Struś siadł przy misce i zanurzył dziób w ciepłej stawie. Patrzą na niego małpki w klatkach o ludzkich czaszkach.

Pan Kertesz ćmi cygaro przy drucianym stoliku. Gdyby smutek dymił rozerwałby jego walizkę – ma w niej lusterko, mydło, pastę i szczoteczkę do zębów, dwa tomy opowiadań Kafki, bieliznę, trzy listy od Marty

a także kleszcza w pudełku od zapalek –  
na wszelki wypadek.

## RULFO

Piasek szeleści w kolbach kukurydzy. Wysypuje się na rozeschły stół z podrutowanych worków. Ćmy fruują w dziurawym dachu. Wdowa poduszki pruje. Żdźbła na progu pozlepiały się – od kroków stały się mazią.

Muł ciągnie klekocący wóz. Chłopi z wąskimi szparkami oczu już nikomu nie wierzą. Nikt nie wie, jakie konstelacje napierają w owym miejscu, które nazywają się przyszłością. Ziemia, jaka ich czeka, to sterta kamieni w wyschniętym korycie Rio Antiqua.

Ptak łopoce między drzewami jak zła wróżba, wybucha nad głowami ohydny chichotem i kpina. Trumny mają tutaj kształt charakterystyczny dla terenów nie obfitujących w wodę – wąskiego kanoe.

Pan Rulfo wyczesuje gzy z chudej kozy. Od tak dawna nie napił się mleka. Trumnę spuszczone do głębokiego dołu i zasypano. Przyniósł kilka płaskich kamieni,

od kiedy zaczął pisać „Pedro Paramo”, zimny księżyc wbił mu ostrze w napięte gardło: srebrnego kleszcza.

## CIORAN

Sekwana obróciła się plecami do Paryża,  
chcąc go zalać. Sunące we mgle kutry widziano  
na Polach Elizejskich. Garbaty dzwonnik z Notre Dame  
już dawno znalazł się pod wodą.

Dymy jesiennych liści, płonące na dziedzińcach,  
wciąż szurają echem w kanałach. I tak upływa dzień  
za dniem: szlamem na ulicach. W rzeźniach sterczą  
puste haki do wędzonych kiełbas.

W jadleodajniach ryż zmieszał się z jęczmieniem i  
fasolą sojową. Kucharka Pepi w pończochach ze  
szwem daremnie czeka na swojego szofera  
w długiej skórzanej kurtce.

Po rozlewiskach starej stolicy brodzi pan Cioran  
w dziurawych kaloszach. Przypatruje się  
robotnikom robiącym prowizoryczne tamy  
ze stosu desek i rolek papy.

Jego twarz jest obrzękła – widać charakterystyczne  
wędrujące zaczerwienienie: żerującego  
kleszcza.

## PAVESE

Pod koniec lata Tybr staje się płytką lurą, cuchnącą wodorostami. Holenderscy turyści biegają z brzegu na brzeg po kocich łbach, wystających z wody. Gęsi wyskubują mech z wilgotnych kamieni.

Kundle o skołtunionej i nastroszonej sierści wychłptały z drzemiących bajorek wodę. Nad promenadą unosi się chmara komarów. Litery neonu: HOTEL palą się na niebiesko.

Butwieje cisza w recepcji. Boy podniósł rolety na drugim piętrze w pustych pokojach. W zmierzchu zamajaczyły gołe ściany. Na kołdrze dyszy salamandra. Lustro wielkości szafy jest studnią artezyjską.

Pan Pavese uparcie gryzmoli coś na marginesach „Dialogów z Leukoteą”. Robi ciągle korektę mitologicznych widm. Jest obuty w modne żółte lakierki. Liczy pigułki, próbując wydostać się z matni.

Nalewa wody do szklanki. Zdejmuje wytworny garnitur, białą wykrochmaloną koszulę i błękitny krawat w zielone groszki – po połknięciu ostatniej pigułki z jego warg wylazi kleszcz.



## NIKIFOR

Na głowie bury  
kapelusz, w ręce garnek cebuli, w kieszeni  
farbki, widelec.

Wcale nie jest posłańcem ani jakimś prorokiem,  
nikt na niego nie czeka.  
Suche badyle warzyw wiodą mnisi  
żywot – chroni się w nich wraz z prążkiem  
cienia.

Po żółtym polu chodzą marzenia i bocian  
jak stary, chudy eunuch. Przeszłość może  
istnieje, a nie ma przyszłości,  
z obu stron drogi.

Ludzie wokół niego mają cienko zaostrome  
dzioby. Miasta, przez które mija, przypominają  
kadłuby statków, oblepione przez oślizgłe  
rozgwiazdy.

Jakże blade jest czoło, pod jakim zwałaniają się  
kłębki namalowanych  
chmur – zimny kleszcz...

## WEIL

Zimny, brzydki dzień w sanatorium w Ashford.  
Zaraz po trzeciej ściemniło się. W wysokie okna  
lepi się ni to śnieg, ni to deszcz. Obudziła się  
wcześnie i patrzy w oblodzoną gałąź, którą  
roztapia odwilż.

Na dworze jakiś człowiek tłucze kamienie.  
Poza tym dzień jest zupełnie cichy. Czasem tylko  
zaszemrzą paciorki wody zerwane z gołych  
drzew. Starzec kuje i kuje, tak jakby tam, na  
zewnątrz, biło jakieś serce.

Niemota świata jest nie do zniesienia. Bóg,  
tworząc go, ograniczył własną nieskończoność,  
by umożliwić stworzeniom autonomiczne  
istnienie – myśli, a gęsta, biaława mgła zasnuwa  
sanatoryjny park.

Znów zapalono lampy niepamięci przed każdą  
twarzą przezroczystych pensjonariuszek. Cały dzień  
męczył je sienny katar. Wyszywały sobie fartuszki  
czarną włóczką. Jakież to nonsens  
coś robić!

A może ja już umarłam i udaję tylko, że tu  
żyję...? – westchnęła, zanim się stała  
aortą pomiędzy niczym a materialnością.  
Na podłodze

pielęgniarki znaleźli kleszcza  
na pustej kartce.



ILUMINACYJNE



## KARTOFLE

zapadnięte szopy, za którymi płaskowyz,  
łąki, bagna i stawy. ludzie wykopują tu klocki  
torfu, co suszy się spiętrzony od czwartej  
godziny rano.

nikt nie chce przecisnąć się przez wrota skrzypiące  
ból, o wiele za wąskie dla ciała. świeżo bielone.  
dyszy pośpiesznie zaciśnięta krtań między farbującymi  
ścianami.

matki w kuchniach wydrapują hafty z połatanych  
koszul. synowie polegli na kolejnej wojnie. upłynął już  
kawałek czasu w szklance  
bez herbaty.

wszędzie cisza, nie ma stworzeń, pozostały tylko  
barwy: żyto żółte, jęczmień biały, owies zielony,  
maki liliowe. na polu kwitną kartofle – zaszyfrowane  
wiersze Drogi

Mlecznej.

## OGRYZEK

okołoziemskie satelity otrzymują coraz więcej sygnałów od obcych cywilizacji – są to ciemnobrunatne i błękitno zielone tony, przez które prześwieca wygwieżdżone niebo. nad pustynią Atakama w Chile dźwięki mają korzenie grube i gruzłowate, inne są jak garść prosa, które rozsiał kosmiczny wiatr.

w wyludnionych Podpłomkach zauważono dziwne zjawisko: ze starej, uschniętej gruszy zaczęły spadać okrągłe gruszcзки, twarde niby kamienie. dawniej je zbieraliśmy w kosze od bielizny – wyznaje wiekowa staruszka Iwa – skakały po naszych plecach. były kanarkowego koloru. skórkę miały cieniutką, pestki drobne i czarne.

grusza-fetysz w samym środku wioski na koniec pokryła się kolcami. sondy od wielu lat mkną na spotkanie tego, co pobrząkuje we wszechświecie. drzewo nie ma już pnia. to mizerny ogryzek, garść szczyżących się pestek.

## DROGA

droga uparła się być drogą. śpi  
zwinęta na mojej piersi jak tobołek.  
złapię na niej autobus.

śmiejemy między wodą a mgłą. brzegi nadają  
się do motania historii. nurt przesuwają się pod  
drzewami. zapaliły się latarki wędkarzy.

to znów woda na młyn. kiedy dni wdowieją  
od główki szpilki w oku. w sklepie kradziono skrzynię  
ze świecami z parafiny i z wosku.

kobiety odczesują włosy ze skroni. wychodzą na  
drogę bosą albo pończochach z wełny czarnej  
owcy. płaczą za

dużo, z twarzami wciśniętymi w poduszkę.  
srebrny miesiąc obwahał niemal wszystkie  
begonie. zmarszczone są

ręce praczek. świętość jawi się  
w krótkim kaszlnięciu, zatopionym w szemraniu  
wody i szumie situ.

matka zżuła sandały, żeby lepiej czuć  
ryby pod stopami. święta. strużka, strużyna, droga  
moja, z

rannymi, z dziećmi, kociętami, kurami, świeżo  
wyklutymi kurczętami  
w kieszeniach....



## PAPUGA

Na półkuli północnej duże kolonie aut,  
turystów, policjantów z radiotelefonami –  
Twarze pełne zawziętości, uporu.

Obserwuję pod prysznicem mydliny,  
spływające do kratki ściekowej. Czy jestem  
już umyty?

Twoja postać w pościeli: chuda, o  
brązowym pigmentcie ciała, rasowa,  
o czarnych włosach.

Fluoryzujący tusz niebieski rozrzuca po  
zaparowanej powierzchni lustra światło,  
którego źródła nie widać.

Tymczasem outsiderzy palą ognisko na jednej  
z Plejad, jedzą pieczone kartofle i piją z gwinta  
jakby tuż obok, na podwórzu...

Czemu nagle przypominają mi się płótna  
Turnera? Na łodzi nie dostaje się przecież  
morskiej choroby?

Sznurowadła, które pousychały bez butów...  
Po kiego diabła trzymam je w  
szufladzie?

I dlaczego w naszym przedpokoju wisi  
papuga gwinejska, wypchana, zamiast  
oczu, mająca dwa czarne szkiefka?

## POIETYCZNE

Szósty krzyżyk – trzeba wziąć klamoty  
i w palczastym listowiu jesionu łowić  
spadające gwiazdy.

Coś zaklekotało mi w piersi i słychać  
tylko lekki furkot pręślicy, kądzieli,  
wrzeciona.

Omiatając miotełkami ostatnią głoskę,  
właśnie skończyłem pić najsmutniejszy  
z napoi – filiżankę słabej herbaty.

Lilipucieje wszechświat, dźwigam ubranie  
niczym szafa. Odmawiam siwym włosom  
myślenia, by nie zrobiła się piana.

Ziemia wciąż krąży po tej samej orbicie  
jak przybita gwoździem. Zresztą ruchy planet  
wiązane są zbyt ciężkimi żelaznymi bolcami.

Parkingowy kieruje ku mnie swój zaczepny  
palec. Panie, nie ma już miejsca na postój,  
między wierszami nie zmieści się już

żaden dureń.

## TRANSWERSALNE

Mój wagon doczepiono ostatni,  
takie nic, truchło klekocące w przeciągach  
zmierzchów i świtów. Skołowany przykładałem  
do piersi passiflorę, a wokół derwisze obracali się  
wokół własnej osi. Tory zmieniały się, a szyny  
były miękkie jak poduszka wyszyta włóczką.  
Jedynie szyba brzęczała ciężarna krajobrazami.  
Przyschnięta myśl zwijała się ukosem za  
oddalaniem. Wszedł pierzasty konduktor  
ze zwiniętymi skrzydłami u skórzanego pasa  
i powiedział, że głębiej się nie dojedzie po  
białej kartce. Jest coraz niemiej, a będzie  
jeszcze bardziej niemo. Na języku pasażerów  
rozpleniła się włośnica sina. Jechałem z ludźmi  
zbitymi z pantaląku – nadymali policzki i fukali  
na rzeczywistość w kształcie ćwiartki koła.  
Ktoś próbował wyperswadować mi, że nastąpi  
przeziadka w Modrzewiowej Dulce, stąd do  
wieczności. Parsknąłem na to śmiechem,  
właśnie wracałem stamtąd i zachrząściłem  
żwirem w kieszeniach, a

nie niebem.

## COOL FINAL

Pomimo przetrząśnięcia teleskopami najdalszych mgławic, świat nie odnalazł piątej klepki.

W brzuchu wszechświata słyszymy tylko własne sapanie; krzątają się ludzie, chociaż świadomość niczego i tak wylezie z dziurki od guzika.

Punktualnie o dwunastej do ratusza chmara Mikołajów przywozi w saniach czarną, szczelną niczym trumna tekę: pozew przeciw ociepleniu.

Niski, przywiedły i siwowłosy, podobny do pokrytej szronem sosnowej szyszki, medialny trefniś nocami łązi po knajpach.

U wyjścia sceny stoją barki naładowane rajskimi owocami, skrzydlate motorówki prują krążek nieba, biuralista wysypuje na widownię pogięte gwoździe.

Bezdomnym bieleją wąsy pod skrzypiącym Wielkim Wozem – snią świerkowy dom, cały w płynącej żywicy i pszczołę gramolącą się do papierowego kwiatu, który się huśta.

Na wszelki wypadek mieszkańcy Rubieży wzmacniają piwnicę żelazobetonem przed atakiem nuklearnym i wymoszczają ziemią z przydomowego ogródka.

Planeta trwa na smyczy dyndającego pendrajwa, który zawiera historię powszechną, tchnienie

Boga, czyli wielkie bum bum a w nim szkarłupnie,  
amonity, sinice, trylobity,

reszta to zmrożona czeluść bez  
rezonansu.

POPIÓŁ



## POPIÓŁ

Suchy oset rośnie w piersiach. Przebudził się stary Mnemon, koneser chaosu. Pasożyt równoleżników i południków atakuje żyły, powodując bezustanne krwawienia. Przeładowane torby, walizki i wózki dziecięce opuszczają wybrzeża pamięci,

zamaskowane wojsko kłuje bagnetami ciężarne miejsca granic. Przesuwając palce po chropowatej powierzchni globusa czuje się wydrapane wyznania wygnańców z tuneli metra

broczące w Europę. A jeszcze wczoraj świat był sadem, morzem z rozgwiadą, deltą rzeki niebieskiej. Pod starym, rozeschłym mostem przesuwały się barki. Dzisiaj w tkance tej ziemi rozpycha się ostry pazur polarnego niedźwiedzia,

lecz popiół leży na wszystkim, jak pożywka do działań deszyfrujących rejony czyjejs wielkiej herezji.



## POPIÓŁ II

Ktoś starannie wypełniał niebo dymiącym pędzlem,  
żeby się obróciło od błękitu  
w złą czerń. A

tamtego dnia matka miała wełnianą chustę. Pamiętam,  
był lekki mróz, lecz ziemia tyła pamięcią wrzucanego  
w nią ziarna.

Teraz przeszłość i przyszłość zastyga między palcami.  
Okadza cegłówki ściany dym z palonych tu ognisk.  
Morze stało się cząstką przypływu

i odpływu czegoś, co jest  
od niego większe, jest ironicznym stemplem  
w wypalonym pejzażu. W księżycową noc światło ma

matki pomiętą chustę i jej zielone, smutkiem  
poplamione źrenice, słone solą  
nadziei.

## POPIÓŁ III

Wiatr wywiewa popioły. Mężczyźni  
niby duchy poznikali w żałobnej bieli okopconych  
firanek. Wrócili, ale nie wszyscy. Dziś w zburzonych  
domostwach przykryto strzaskanym szkłem  
kreski, wiodące w górę,  
narysowane ołówkiem na wyblakłej  
tapecie kogoś, kto rozważał tajemniczy kosmos  
Sefirot.

## POPIÓŁ IV

Po szkliwie nieba przesuwiają się rybackie kutry.  
Jeży się sierść galaktyk.  
Szkielety zrudziałych brzóz na tle zrudziałych  
ruin: miękkimi ściereczkami - zmywaj je  
pod powiekami. Jutro ciebie ubiorą  
we włochaty kir chwały i pójdiesz, mijając  
rzędy ksiąg oprawionych w skórę, chociaż  
hymny potęgi wyśpiewały metale. Zamruga  
lodowe oko zimnej Gwiazdy Polarnej. Posypiesz  
łóżko

popiołem.

## UŚPIONE

Drzewo świętojańskie ma okres uśpiania 15 lat;  
Nasiona lotosu – 800 lat;  
Zamrożony arktyczny łubin trwa w stanie uśpiania  
Do 10 000 lat...

A ja?



BOGDAN NOWICKI



**Bogdan Nowicki** - ur. 9 kwietnia 1963 w Rudzie Śląskiej. Doktor nauk humanistycznych, poeta, prozaik, eseista, literaturoznawca. Debiutował w „Tak i Nie” w roku 1986 publikacją poezji. Interesuje go kondycja człowieka w tzw. epoce postnowoczesnej, a także jego relacje z naturą oraz utraconą Transcendencją.

Publikował m.in. w czasopismach: „Twórczość”, „Topos”, „Odra”, „Akcent”, „Akant”, „Wyspa”, „Opcje”, „FA-art”, „Kresy”, „Red.” czy „Śląsk”, z którym współpracował jako recenzent.

Autor książki o Brunonie Schulzu pt. *Konduktor wagonu sypialnego* (Kraków 2018), tomików poetyckich: *Centaurowo* (Kraków 2017) oraz *Dreżyny* (Kraków 2018), a także zbioru esejów pt. *Bogowie mają wełniane nogi* (Kraków 2019).

Członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Mieszka w Świętochłowicach.





# SPIS TREŚCI

## ENNEADY

ENNEADY . . .	7
PATHOS . . .	8
DROGA MLECZNA . . .	9
KONFITURY . . .	10
STROICIEL LITER . . .	11
SPRZEDAWCY SOLI . . .	12
KALIGULA . . .	13
MEDEA . . .	14
LUTNIA . . .	15

## TOPOIDY

JASNA POLANA . . .	19
PETERSBURG . . .	20
GURZUF . . .	21
MUSTAMAKI . . .	22
GRASSE . . .	23
MIĘDZYDROJE . . .	24
STRYDON . . .	25
WARSZAWA . . .	26
WYZYSKOWICE . . .	27

## DZIELNICA CH.

CHWIŁA W DZIELNICY CH. . . .	31
RAPORT Z DZIELNICY CH. . . .	32
PRZEDŚWIT W DZIELNICY CH. . . .	33
POWIDOKI W DZIELNICY CH. . . .	34
DOM SPOKOJNEGO DZIECIŃSTWA W DZIELNICY CH. . . .	35
SZAFY W DZIELNICY CH. . . .	36
SEN W DZIELNICY CH. . . .	37
ZMIERZCH NAD DZIELNICĄ CH. . . .	38
SZKLARZE W DZIELNICY CH. . . .	39
TĘSKNOTA ZA DZIELNICĄ CH. . . .	40

## RODZINNE

CERATA. . . .	43
MUNDURY . . . .	44
KRZEW . . . .	45
TERMOFOR . . . .	46
SZYBA . . . .	47
FLĄDRA . . . .	48
POGRUSZEK . . . .	49
CHUSTA . . . .	50
SIOSTRA . . . .	51
OFELIA Z WOSZCZELI . . . .	52

## TRWANIE

ETUI . . .	55
TRWANIE . . .	56
JONASZ . . .	57
KONKWISTADORZY . . .	58
WIELORYBNICY . . .	60
ZIMNA WYSPA . . .	61
PEAN NA CZEŚĆ KOTA . . .	62
JEŻ . . .	63

## WYCIĄGACZ KLESZCZY

KAFKA . . .	67
KERTESZ. . .	68
RULFO . . .	69
CIORAN . . .	70
PAVESE . . .	71
NIKIFOR . . .	72
WEIL . . .	73

## ILUMINACYJNE

KARTOFLE . . .	77
OGRYZEK . . .	78
DROGA . . .	79
PAPUGA . . .	80
POIETYCZNE . . .	81
TRANSWERSALNE . . .	82
COOL FINAL . . .	83

*POPIÓŁ*

POPIÓŁ . . . 87  
POPIÓŁ II . . . 88  
POPIÓŁ III . . . 89  
POPIÓŁ IV . . . 90  
UŚPIONE . . . 91

*Notka biograficzna . . . 93*

## W serii *Sudecka poezja i proza* dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza XII, III Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2014.
- Maria Grabowska, *Sudecka poezja i proza XIII, Kalejdoskop barw*, Bielawa 2015.
- Roman Styrzcz, *Sudecka poezja i proza XIV, Opowiadania myśliwskie*, Bielawa 2015.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XV, Osiodłane myśli*, Bielawa 2015.
- *Sudecka poezja i proza XVI, IV Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2015.

- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza XVII, Dziennik pieszycki*, Bielawa 2016.
- Barbara Bulerska, *Sudecka poezja i proza XVIII, Kartki z kalendara*, Bielawa 2016.
- *Sudecka poezja i proza XIX, V Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2016.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XX, Mortum urbi*, Bielawa 2017.
- Weronika Karwacka, *Sudecka poezja i proza XXI, Młodzi gniewni*, Bielawa 2017.
- *Sudecka poezja i proza XXII, VI Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2017.
- *Sudecka poezja i proza XXIII, Sudeckiej biblioteki impresje: Wybór wierszy*, Bielawa 2017.
- Dorota Ciszewska, *Sudecka poezja i proza XXIV, Chmura życia*, Bielawa 2018.
- Roman Gargas, *Sudecka poezja i proza XXV, Mistrz i Krystyna*, Bielawa 2018.
- *Sudecka poezja i proza XXVI, VII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2018.
- Stanisław Wojnar, *Sudecka poezja i proza XXVII, W rosochach myśli*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXVIII, Sudeckiej biblioteki impresje 2019. Wybór wierszy*, Bielawa 2019.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza XXIX, Im-puls*, Bielawa 2019.
- Paweł Stolarski, *Sudecka poezja i proza XXX, Prototyp*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXXI, VIII Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2019.
- *Sudecka poezja i proza XXXII, Sudeckiej biblioteki impresje 2020. Wybór wierszy*, Bielawa 2020.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza XXXIII, c(i)ałokształt*, Bielawa 2020.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza XXXIV, Tatuże*, Bielawa 2020.

- Maciej Henryk Modzelewski, *Sudecka poezja i proza XXXV, (L)istnienie*, Bielawa 2020.
- *Sudecka poezja i proza XXXVI, IX Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2020.
- *Sudecka poezja i proza XXXVII, Sudeckiej biblioteki impresje 2021. Wybór wierszy*, Bielawa 2021.
- *Sudecka poezja i proza XXXVIII, X Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2021.
- Małgorzata Dudek, *Sudecka poezja i proza XXXIX, Wśród tchórzy wraków*, Bielawa 2022.
- *Sudecka poezja i proza XL, Sudeckiej biblioteki impresje 2022. Wybór wierszy*, Bielawa 2022.
- *Sudecka poezja i proza XLI, XI Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2022.